abp CHARLES J. CHAPUT OFMCap

za co warto umierać?

Myśli o tym, dla czego warto żyć

SSL

za co warto umierać?

Myśli o tym,
dla czego warto żyć

abp CHARLES J. CHAPUT OFMCap

za co warto umierać?

Myśli o tym, dla czego warto żyć

przekład
Magda Sobolewska

Wydawnictwo Sióstr Loretanek
Warszawa 2022

THINGS WORTH DYING FOR:
Thoughts on a Life Worth Living by Charles J. Chaput
Copyright © 2021 by Charles J. Chaput O.F.M. Cap.
Published by arrangement with Henry Holt
and Company, New York

© by Wydawnictwo Sióstr Loretanek, Warszawa 2021
© by Polish translation by Wydawnictwo Sióstr Loretanek,
Warszawa 2021

Na okładce
Gordon Johnson / Pixabay; makamuki0 / Pixabay

Redakcja i projekt okładki
Krzysztof R. Jaśkiewicz

Łamanie
s. Karolina Masztalerz CSL

ISBN 978-83-8212-056-1
ISBN 978-83-8212-060-8 (ebook)

Wydawnictwo Sióstr Loretanek
ul. L. Żeligowskiego 16/20; 04-476 Warszawa
tel. 22 673 46 93; 22 673 58 39
sklep.loretanki.pl; sklep@loretanki.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Loretańska, Warszawa-Rembertów

Spis treści

1.
Jeśli zapomnę cię, Jeruzalem… 7

2.
Cicho, w głąb tej dobrej nocy 35

3.
Do wód Casablanki 61

4.
Strażacy przy krzewie ognistym 89

5.
Dulce et decorum est 113

6.
Zabójcza idea 139

7.
Więzi, które łączą 167

8.
Ecclesia sua 201

9.
Królewski szlak 237

Posłowie
O przyjaźni 265

Podziękowania 283

Każdy, kto prawdziwie poznał Boga,
nigdy się z Niego nie wyleczy.

François Mauriac

Bez pamięci nie ma kultury. Bez pamięci nie byłoby cywilizacji i społeczeństwa ani nie byłaby możliwa przyszłość. (…) Oto moja największa troska – pamięć, królestwo pamięci. Chcę to królestwo chronić i wzbogacać, wysławiać je i jemu służyć.

Elie Wiesel

1.

JEŚLI ZAPOMNĘ CIĘ, JERUZALEM…

Gdy patrzy się nocą z Jafy na północ, wzdłuż wybrzeża, panorama Tel Awiwu wyrasta z morza niczym amfiteatr światła na tle czarnego nieba. Miasto, okrzyknięte przez „The New York Times" śródziemnomorską stolicą luzu, jest ekonomicznym i twórczym centrum Izraela, arogancckim, młodszym bratem Jerozolimy, oddalonej o zaledwie siedemdziesiąt kilometrów.

W 2019 roku średnia wieku mieszkańców Tel Awiwu wynosiła zaledwie trzydzieści lat. Bujne życie towarzyskie jest paliwem dla pięciogwiazdkowych hoteli i drogich restauracji. Miasto roi się od ambasad i budynków rządowych. Wieżowce ze stali i szkła wyznaczają linię horyzontu. Brutalne przestępstwa należą do rzadkości. Jak na rejon nieustannego konfliktu, jest tu wyjątkowo bezpiecznie. Metropolia szczyci się jednym z najwyższych

standardów życia na Bliskim Wschodzie.

Założyciele miasta byliby dumni. Zbudowali coś lepszego, niż zamierzali.

Początkiem Tel Awiwu-Jafy, bo tak brzmi jego pełna nazwa, było osiedlenie się sześćdziesięciu żydowskich rodzin na piaszczystej wydmie. Był rok 1909. Rodziny te, zmęczone tłokiem w pobliskiej Jafie, opuściły jej starożytne mury i zaczęły tworzyć – z niczego – nowatorskie samorządne żydowskie osiedle, zalążek dzisiejszego Izraela. Zaprojektowano je zgodnie z nowoczesnym modelem urbanistycznym. Osada miała ulice, kanalizację i architekturę z prawdziwego zdarzenia. Projekt „chwycił". Pionierzy, po części zainspirowani marzeniem o odnowionym państwie żydowskim w historycznej ojczyźnie, poświęcili się budowaniu miasta, które miało stać się źródłem nadziei dla Żydów z całego świata. W roku 1950, dwa lata po ogłoszeniu przez Izrael niepodległości, Tel Awiw wchłonął zamieszkałą przeważnie przez Arabów Jafę.

Kluczem do DNA Tel Awiwu jest duma z jego nowej, izraelskiej tożsamości. To miasto odrzuca wszystko, co mogłoby je uczynić zakładnikiem przeszłości. Co prawda, Yad Vashem, Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu[1], podtrzymuje pamięć o cierpieniach Żydów z rąk wrogiego świata, zwłaszcza w okresie Shoah, ale Tel Awiw jest młody. I zdecydowanie spogląda ku przyszłości. Problem z przyszłością polega jednak na jej nierozerwalnej więzi z przeszłością. Przyszłość wyrasta z naszych wyborów i działań podejmowanych tu i teraz.

---

[1] Yad Vashem założono w Jerozolimie w roku 1953. (*przyp. red.*)

Dojrzewa w teraźniejszości, kształtowanej z kolei przez przeszłość. Jafa, łono, które zrodziło izraelską „stolicę luzu", jest od Tel Awiwu nieporównanie starsza. Ludzie w tym miejscu, znanym dziś jako Jafa, mieszkają od 3,5 tysiąca lat.

To właśnie z Jafy Jonasz wypłynął do Tarszisz, uciekając przed Bogiem. Przez port w tym mieście Salomon sprowadzał cedry libańskie na budowę Pierwszej Świątyni. W Jafie Piotr uzdrowił Dorkas i miał wizję, która przekonała go do głoszenia Ewangelii poganom. Rządzili nią wszyscy: Kananejczycy, Egipcjanie, Asyryjczycy, Babilończycy, Grecy, Rzymianie, Bizantyjczycy, Persowie, muzułmańscy kalifowie, krzyżowcy, Turcy, Francuzi i Anglicy. Wszystkich wchłonęła historii. I wszyscy dołożyli się do przytłaczającego miasto brzemienia lat.

Co dotyczy Jafy, odnosi się także do całego Izraela – albo Palestyny, albo Ziemi Świętej. Zresztą nawet sama nazwa jest tu źródłem napięć. Każdy nazywa to miejsce inaczej, w zależności od tego, jak postrzega ten skrawek ziemi na styku Europy, Azji i Afryki. Od tysięcy lat szlaki handlowe wiły się tędy wzdłuż wybrzeża niczym arterie niosące substancje odżywcze do różnych części ciała. Maszerowały nimi także armie. Jednymi kierowała chęć zysku, innymi imperialne ambicje. Ta ziemia, a zwłaszcza Jerozolima, kryje w sobie jednak coś cenniejszego od złota. Jest to kraj nawiedzany przez Boga, pełen znaczenia i często spływający krwią. Jest on *kadosz*, co po hebrajsku znaczy: „inny niż", „oddzielony", „święty". Zarówno Żydzi, jak i Palestyńczycy uważają ten rejon geograficzny za swoją ojczyznę. I jedni, i drudzy mają uzasadnione roszczenia. Co więcej, na ich polityczny

konflikt nakłada się historia religii pełna konkurencyjnych wyobrażeń na temat celu i przeznaczenia tej ziemi.

Amerykanie zazwyczaj nie są dobrzy z historii. Nasz kraj został ufundowany jako *novus ordo seclorum*[2] – 'nowy porządek wieków'. Izrael jest inny. W Izraelu przeszłość to żywotna siła.

Laureat Nagrody Nobla Elie Wiesel zdumiewał się, że jego naród – naród żydowski – tak mocno „pragnie pamiętać. Żaden inny – mówił – nie ma takiej obsesji na punkcie pamięci"[3]. Dla Żydów współczesny Izrael jest wcieleniem biblijnej Ziemi Obiecanej. Jerozolima jest historyczną stolicą Izraela i świętym miastem judaizmu. Tęsknota za nią została uwieczniona w Psalmie 137: „Jeśli zapomnę cię, Jeruzalem, niech uschnie moja prawica"[4]. Najświętszym miejscem Jerozolimy jest Wzgórze Świątynne; dziewięćset lat przed Chrystusem Salomon zbudował tu Pierwszą Świątynię. Babilończycy zniszczyli ją w 587 roku p.n.e. Odbudowana została w roku 516 p.n.e. Druga Świątynia została powiększona przez

---

[2] Inskrypcja widniejąca na rewersie Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych użytej po raz pierwszy w roku 1782. Fraza ta od roku 1935 widnieje także na banknocie jednodolarowym, na którego odwrocie umieszczono obie strony wielkiej pieczęci. (*przyp. red.*)

[3] „Cytat 6", Izraelskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, https://mfa.gov.il/MFA/Quotes/Pages/Quote-6.aspx [dostęp: 1 sierpnia 2020].

[4] Tak Biblia Warszawska; Biblia Tysiąclecia (wyd. V, Pallottinum, Poznań 2003) przynosi zapis: „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech [o mnie] zapomni moja prawica" (Ps 137, 5). O ile nie podano inaczej, wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wyd. V, Pallottinum, Poznań 2003. (*przyp. tłum.*)

Heroda Wielkiego w dziesięcioleciach poprzedzających narodziny Jezusa. Rzymianie zrównali ją z ziemią w 70 roku, podczas I wojny żydowskiej. Około sześćdziesiąt lat później, podczas II wojny żydowskiej, zburzyli miasto i wygnali jego mieszkańców.

Po 70 roku n.e. ośrodek kultu religii żydowskiej przeniósł się ze świątyni do synagogi. Niemniej Ściana Zachodnia w Jerozolimie – jedyny zachowany fragment Drugiej Świątyni – stała się celem nieustannych pielgrzymek. Do dziś w sercu Wzgórza Świątynnego znajduje się skała znana jako «Kamień Węgielny». W tradycji żydowskiej skała ta jest miejscem, gdzie niebo styka się z ziemią. W tym miejscu Bóg zaczął stwarzać świat i tu Abraham miał złożyć swego syna w ofierze. I to właśnie stanowi sedno problemu, zarówno religijnego, jak i politycznego, bo kamień ten kryje obecnie Kopuła na Skale. Zbudowana w 691 roku n.e., po podboju muzułmańskim, Kopuła na Skale jest jednym z najświętszych miejsc islamu. Muzułmanie, podobnie jak żydzi, uważają «Kamień Węgielny» za miejsce, w którym Bóg zainicjował stworzenie świata. Dla nich jest to jednak także punkt, z którego Mahomet rozpoczął swoją „nocną podróż" do nieba. To samo wydarzenie upamiętnia meczet Al-Aksa, również wzniesiony na Wzgórzu Świątynnym. Dość powiedzieć, że efektem owych sprzecznych roszczeń do Wzgórza Świątynnego jest niesłabnące napięcie, które wpływa na politykę i nie daje się rozładować.

Na dodatek jesteśmy jeszcze tam i my – chrześcijanie.

Dodajmy, że kraj rządzony dziś przez Izrael i Autonomię Palestyńską obejmuje Betlejem, gdzie Jezus się urodził, Nazaret, gdzie dorastał, a także wszystkie

miasta i wioski, w których uzdrawiał i nauczał. W Jerozolimie Jezus został obrzezany jako niemowlę i do niej pielgrzymował z rodzicami jako chłopiec. I to tu płakał nad miastem, nauczał w świątyni i wypędzał z niej przekupniów. W Jerozolimie również spożył Ostatnią Wieczerzę ze swoimi apostołami, modlił się i został pojmany w Ogrodzie Getsemani, a potem, skazany przez Piłata, uprzednio ubiczowany i ukrzyżowany, umarł. I właśnie tu, w Jerozolimie, zmartwychwstał.

Przez wszystkie dni w roku miasto tłumnie wypełniają pielgrzymi. Co prawda, liczba chrześcijan maleje tu i na całym Bliskim Wschodzie z powodu wojen i prześladowań, ale Ziemia Święta jest wyjątkowym magnesem dla całej światowej społeczności chrześcijańskiej. Siła przyciągania jest tak wielka, że może spowodować szczególną dolegliwość psychiczną: syndrom jerozolimski[5]. Władze izraelskie co roku bowiem odnotowują około pięćdziesięciu przypadków pośród odwiedzających, którzy nagle zaczynają podawać się za króla Dawida, Jana Chrzciciela albo Maryję mającą niebawem urodzić Mesjasza. Jest to zaburzenie psychiczne, ale potrzeba dotknięcia tego, co nadprzyrodzone, tkwiła zawsze głęboko w ludzkiej naturze, podobnie tkwi w niej pragnienie stanięcia twarzą w twarz z tym, co wieczne. Dlatego święte miejsca stanowiły magnes dla wiernych już od pierwszych dni Kościoła. Dowody na to widać wszędzie: rozsiane po kraju historyczne pozostałości przypominają o świętych

[5] Zob. Emine Saner, *What is Jerusalem Syndrome?*, [w:] „Guardian", 16 stycznia 2018 [https://www.theguardian.com/society/shortcuts/2018/jan/16/jerusalem-syndrome-psychiatric-condition-oliver-mcafee-british-tourist].

wojnach toczonych w Ziemi Świętej przez żydów, muzułmanów i wreszcie chrześcijan.

Pierwszą krucjatę ogłosił papież Urban II w roku 1095. Jej cele były proste: pomóc Cesarstwu Bizantyjskiemu uwolnić Ziemię Świętą spod władzy muzułmanów i chronić chrześcijańskich pielgrzymów, którzy często byli mordowani lub trafiali do niewoli. Jak zauważył znamienity historyk z Cambridge, Jonathan Riley-Smith, motywy udziału w krucjacie zwykle były połączeniem dążeń pobożnych i tych bardziej przyziemnych. Przeważał jednak duch płomiennie religijny: dla przywódców krucjaty i dla ogółu wiernych była to – mówiąc wprost – „zbrojna pielgrzymka”[6].

Współczesnym często trudno pojąć rozmiary przedsięwzięcia, jakim była krucjata, a także szczerość intencji jej uczestników i to, jak wielkich wymagała poświęceń. Krzyżowcy przez ponad cztery lata maszerowali, przymierali głodem i walczyli, pokonując ponad cztery tysiące kilometrów w nieznanym, obcym terenie i niesprzyjającym klimacie. Nieustannie mierzyli się z piętrzącymi się przeciwnościami, by ostatecznie w 1099 roku odbić Jerozolimę, Jafę i miasta Lewantu. Sztuka wojenna tamtych czasów odznaczała się bezwzględnym okrucieństwem

---

[6] Jonathan Riley-Smith jest autorem wielu prac poświęconych krucjatom. Warto przeczytać: *The First Crusade and the Idea of Crusading*, University of Pennsylvania Press, Philadelphia 1986, oraz: *The First Crusaders: 1095–1131*, Cambrigde University Press, New York 1997. (W Polsce ukazały się dwie prace Rileya-Smitha: *Krucjaty: historia*, tłum. Janusz Ruszkowski, Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 2008; oraz: *Historia krucjat*, tłum. Katarzyna Pachniak, Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, Warszawa 2000 – *przyp. tłum.*).

po każdej ze stron. Wędrówka oznaczała zaś dotkliwe cierpienia, przewlekłe choroby, życie w ciągłej niepewności i strachu. Wiele tysięcy krzyżowców zmarło po drodze. Niewielu odniosło materialne zyski. Większość, bez grosza przy duszy, wróciwszy do domów, podupadła na zdrowiu. A wszyscy, przynajmniej do pewnego stopnia, ryzykowali życiem dla spraw pozbawionych materialnej wartości: odpuszczenia grzechów, pomocy współwyznawcom oraz żarliwej obrony wiary i czci Boga.

Izrael, Palestyna, Ziemia Święta – nazwy są różne. Roszczenia także. Łączy je wspólna teraźniejszość – czasem olśniewająca, ale nazbyt często bolesna – pod którą kryją się bardzo różne wersje przeszłości. Jest to jednak przeszłość zaskakująco jednorodna, gdy chodzi o pamięć o tym, za co warto umierać.

* * *

Jesienią 2019 roku, tuż przed przystąpieniem do pisania tych stron, skończyłem siedemdziesiąt pięć lat. Dla biskupów w Kościele katolickim to wiek emerytalny. Zgodnie z wymaganiem prawa kanonicznego złożyłem rezygnację na ręce Ojca Świętego Franciszka. Była to dziwna chwila. Być może to, co się jakoś kończy, zawsze jest takie. Sokrates powiedział kiedyś, że nie warto żyć życiem przez nas niepoznanym, a narzędziem owego poznania winna być pamięć. Można by nawet rzec, że jest ona zbiorem naszych doświadczeń i płynących z nich nauk. Jednym z największych błogosławieństw w moim życiu było zaś pełnienie posługi biskupa – przez jakiś czas w Rapid City w Dakocie Południowej, później w Denver

i na koniec w Filadelfii. Są to wszystko wielkie miasta. Wszystkie też żyją w mojej pamięci. Rozstanie z tego rodzaju ożywczym zajęciem budzi zarówno wdzięczność, jak i nostalgię.

Dobrą stroną skończenia siedemdziesięciu pięciu lat jest to, że zyskuje się czas na odpoczynek i refleksję. Ale drugą, niezbyt dobrą stroną, jest to, co musi teraz prędzej czy później nastąpić. Po siedemdziesiątce droga życia w lusterku wstecznym jest o wiele dłuższa niż ta, którą widzimy przed sobą. Tematy takie jak: „za co warto umierać" stają się szczególnie aktualne. Jak lubi z sarkazmem mawiać mój przyjaciel, śmierć to jednokierunkowy zjazd z autostrady.

Owszem, można na nią patrzeć w ten sposób. Lecz ja czuję coś zupełnie innego.

Mój tata był właścicielem zakładu pogrzebowego w małym miasteczku w Kansas. Znaliśmy się z prawie wszystkimi rodzinami w okolicy, a z wieloma łączyła nas serdeczna przyjaźń. Mieliśmy dobry, szczęśliwy dom. Mieszkaliśmy nad zakładem pogrzebowym i dla mnie nigdy nie było w tym nic dziwnego. Kiedy podrosłem, czasem pomagałem ojcu w przyjmowaniu zmarłych. Śmierć i wszystkie związane z nią skomplikowane uczucia były w naszym domu naturalną częścią życia. Nie było w nich nic mrocznego. W naszej społeczności śmierć stanowiła odzwierciedlenie znajomego cyklu pór roku i wegetacji. Wcześnie, z bardzo osobistych obserwacji, zrodziło się we mnie przekonanie o świętości życia, a także o jego kruchości. Nauczyłem się też, że żałoba to dobra rzecz, potwierdzająca fakt, że odszedł ktoś wyjątkowy i niepowtarzalny; że dobiegło końca życie z jego własnym

światem radości, cierpień i miłości, dotychczas złączone silnymi więzami z życiem tylu innych osób, a od tej pory przechowywane jedynie w pamięci.

Słyszałem także od rodziców i wielu innych osób, że śmierć to nie koniec, tylko początek. Bóg i Jego miłosierdzie istnieją naprawdę.

Upływ czasu ma swój sens. Znaczenie zdania staje się jasne dopiero po postawieniu kropki. To samo dotyczy życia. Kiedy mówimy o tym, za co warto umierać, tak naprawdę mówimy o tym, dla czego warto żyć, mówimy o tym, co sprawia, że życie jest piękne i sensowne. Myśl o własnej śmiertelności pozwala nam zobaczyć świat z właściwej perspektywy. Pomaga nam dostrzec, co tak naprawdę ma znaczenie, a także zrozumieć błahość wielu rzeczy, które ostatecznie znaczenia nie mają. Karawan, jak mawiał mój tata, nie ma bagażnika.

Dlatego powstała ta książka – nie metodyczny wywód czy dzieło naukowe, ale raczej garść myśli na temat, który z biegiem lat nabiera coraz większego znaczenia. W ciągu całego swojego życia wielokrotnie widziałem, że ludzie zazwyczaj zmagają się z dwiema wielkimi pokusami. Pierwszą jest pokusa konstruowania sensu życia na własną rękę, co ostatecznie prowadzi do utraty jakiegokolwiek sensu. Drugą jest pokusa, by żyć i umierać dla źle pojętego sensu, dla niewłaściwych spraw czy celów. Świat roi się od zdradliwych, utajonych bożków, które żądają naszej wyłącznej uwagi, a na koniec sprzeniewierzają się naszym najskrytszym pragnieniom. Jest jednak tylko jeden Bóg – Bóg Izraela. I tylko w nim, jak tysiąc sześćset lat temu powiedział św. Augustyn, nasze serca mogą ostatecznie znaleźć spoczynek. Z tym przekona-

niem zaczynamy.

Sokrates był jednym z najwybitniejszych umysłów w dziejach świata. Często widzi się w nim ojca zachodniej tradycji etycznej. Powiedział, że jego filozofię najlepiej można zrozumieć jako przygotowanie na śmierć. Twierdzenie to brzmi może dziwnie, ale jest całkiem sensowne. Pasją Sokratesa było mówienie prawdy oraz mądrość, która z tego się rodzi, i prawość, jaką się dzięki temu osiąga. Sama nazwa «filozofia» odzwierciedla jego umiłowanie prawdy. Łączy ono dwa greckie słowa: *philia* – 'miłość jako przyjaźń' i *sophia* – 'mądrość'. Sokrates nie „studiował" mądrości. Dążył do niej, aby z niej uczynić podstawę swego życia. Miłował ją jak przyjaciela.

Miłość jest wymagająca. Każe nam wyjść poza siebie. Im mocniej kochamy, tym bardziej wzrasta nasza gotowość ponoszenia ofiar. Kiedy całkiem szczerze przyznajemy się przed sobą, dla jakich spraw gotowi jesteśmy ponieść ofiarę, a nawet śmierć, widzimy, co tak naprawdę kochamy. A to mówi nam, kim w istocie jesteśmy.

Przykładów nie brakuje. Rodzina, w swoim najlepszym wydaniu, jest szkołą wyrzekania się samego siebie ze względu na tych, których kochamy. Skrajnym, bohaterskim przykładem są żydowscy rodzice z czasów Holocaustu, oddający chrześcijańskim rodzinom swoje dzieci, żeby je ocalić. Znali cenę tej ofiary. Przykład bliższy naszego życia: każda kobieta rodząca dziecko, nawet jeśli korzysta ze wszystkich zdobyczy współczesnej medycyny, ryzykuje życiem. A wychowanie dzieci zawsze wymaga od rodziców poświęcenia czasu, uwagi i środków. W więzi rodzica z dzieckiem niewątpliwie dużą rolę odgrywa instynkt. Z tego powodu ofiary pono-

szone w rodzinie, kiedy się je ogląda z zewnątrz, mogą się wydawać „łatwe". Dzieje się tak dlatego, że najczęściej są one zupełnie niewymuszone. Z drugiej strony jednak zanik wiary i kurczenie się wspólnot religijnych sprawiają, że coraz bardziej egoistyczny i niszczący indywidualizm, będący fundamentem nowoczesnego społeczeństwa, zrywa nawet więzi rodzinne. Skłania on rodziców, by traktowali dziecko jako kosztowną ozdobę lub, co gorsza, jako ciężar. Podkopuje także więzi dorosłych dzieci z rodzicami – ci ostatni z wiekiem często stają się niesamodzielni, przez co wymagają od dzieci dużego nakładu czasu i środków.

Innym przykładem może być przyjaźń. Jest ona, co prawda, słabszą formą miłości niż więzy rodzinne, a idea oddania życia za przyjaciela może się nam wydawać bardzo odległa. Jezus sam jednak powiedział: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich" (J 15, 13). W historii nie brak opowieści o żołnierzach, którzy z narażeniem życia ratowali towarzyszy na polu walki. Właściwie każda prawdziwa przyjaźń wymaga gotowości do umierania – jeśli nie dosłownie, to w sensie umierania dla siebie, dla swojej niecierpliwości i niechęci do ponoszenia ofiar za innych. Gotowość do tego, by być z przyjaciółmi, gdy nie jest łatwo ich kochać, towarzyszyć im w potrzebie i dzielić ich cierpienia: oto próba prawdziwej przyjaźni.

Kolejny przykład to umiłowanie honoru. Wokół tego tematu często obracają się starożytne mity i legendy. W *Iliadzie*, jednym z najwspanialszych poematów epickich wszechczasów, Achilles opuszcza szeregi greckiej armii, bo jej dowódca, Agamemnon, obraził jego honor.

Przez wiele stuleci mężczyźni pojedynkowali się w obronie honoru. Także kobiety walczyły, by zachować swój honor od skazy. Obrona honoru była sprawą, za którą nieprzeliczone tysiące były gotowe oddać życie. Słowo „honor" może we współczesnych uszach brzmieć zbyt podniośle albo staromodnie. Świadczy to jednak tylko o ułomności naszych czasów. Honor to rzecz olbrzymiej wagi. Chcemy, żeby inni szanowali nasz honor i sami nie chcemy go stracić. Honor łączy się z pojęciem godności i integralności wewnętrznej. Mąż dochowujący wierności żonie szanuje przymierze małżeńskie i dba o integralność tego związku. To samo dotyczy naszych najgłębszych przekonań: im także należy się szacunek. Każdy z nas pragnie – nawet jeśli nam się to nie udaje – żeby być człowiekiem honoru, człowiekiem zasad, gotowym bronić tego, co w naszym przekonaniu słuszne i prawdziwe.

Na kartach powieści Aleksandra Sołżenicyna spotykamy wielu ludzi starających się ocalić honor w toksycznym świecie sowieckiego komunizmu. W dziełach autora, który przeżył piekło gułagu, wybrzmiewa pogarda dla tchórzy i lizusów oraz podziw dla tych, którzy potrafią uszanować własne sumienie nawet pod groźbą śmierci. Historie te rozgrywają się w ponurej scenerii. Dziś wydaje się, że wielkie zbrodnicze reżimy poprzedniego wieku to już historia, a ich zagrożenia są dla nas odległe. Jednak zło, podobnie jak wirus, ma genialną zdolność mutowania i przybierania nowych, atrakcyjnych form. Dlatego tematy poruszane przez Sołżenicyna są nadal aktualne. Zło jest rzeczywiste, nawet jeśli maskują je kojące słowa i doskonały marketing. Dlatego zachowanie honoru, sza-

nowanie własnych przekonań ma zawsze fundamentalne znaczenie. I zazwyczaj sporo kosztuje.

Żyjemy w czasach restrykcyjnego dyskursu politycznego obejmującego wszystkie tematy: od spraw płci po amerykańską historię. W sferze polityki często panuje amnezja co do ceny ludzkiego cierpienia, jaką pociągnęły za sobą dotkliwe eksperymenty społeczne i toksyczne „wielkie idee" poprzedniego wieku – zawsze wcielane w życie w imię postępu i równości. Niewątpliwie odwadze musi zawsze towarzyszyć roztropność. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, gdy wierni znosili kolejne fale prześladowań, Ojcowie Kościoła krytykowali tych, którzy zbyt gorliwie pragnęli męczeństwa. Z opisu męczeństwa św. Polikarpa dowiadujemy się, że początkowo, posłuchawszy nalegań przyjaciół, usunął się on ze swego miasta, żeby uniknąć spotkania z urzędnikami wymagającymi od chrześcijan złożenia ofiary pogańskim bogom. Rozwadze Polikarpa przeciwstawiona zostaje postawa zapaleńca, który bez namysłu chce znieważyć władze, aby wykazać się wiarą. To nie on jednak, tylko Polikarp przedstawiany jest jako wzór dla wierzących. Życie – każde życie, nawet najuboższe, najsłabsze, nienarodzone czy niepełnosprawne – jest drogocennym darem. Nie powinniśmy nigdy nieroztropnie narażać go na ryzyko. Tę samą zasadę można zastosować do sukcesu zawodowego czy choćby zwyczajnego dobra, jakim jest zarabianie na przyzwoite życie i utrzymanie rodziny. Unikanie sytuacji, które zmuszają nas do jasnego wyrażenia naszych przekonań, może niekiedy być przejawem roztropności.

Musimy być jednak ostrożni. W poprzednim zdaniu

kluczowe znaczenie odgrywa słowo „niekiedy". Pod pozorami roztropności lubi ukrywać się tchórzostwo. Zbyt często naginamy się do tego, co uważamy za ogólnie przyjęty sposób postępowania albo myślenia. Nie ujawniamy swoich przekonań, żeby nie potraktowano nas wzgardliwie. Uzasadniona roztropność może się z czasem zdegradować i zmienić w zły nawyk, który niszczy duszę. Żaden uczciwy człowiek nie wyrzeka się, nie zdradza swoich przekonań, co więcej, świadome kłamstwo zabija nas wewnętrznie. Nawet milczenie, które czasem bywa roztropne, może zagrozić wewnętrznej uczciwości, jeśli staje się standardowym sposobem unikania konsekwencji własnych przekonań. Jezus przynagla nas, żebyśmy miłowali bliźniego jak siebie samego. Ale miłość nigdy nie oznacza akceptowania zła lub przyłączania się do tego, kto je czyni. Miłowanie siebie samego oznacza dla chrześcijanina także umiłowanie honoru, będącego rezultatem zachowywania wewnętrznej uczciwości w świecie, który chętnie skłoniłby nas do zaparcia się naszych przekonań.

* * *

Umiłowanie rodziny, przyjaciół, honoru i uczciwości – wszystkie te miłości są dla nas czymś naturalnym. Ludzie wszystkich epok skłonni byli dla nich żyć i za nie umierać. Jako chrześcijanie wiemy jednak, że wszystkie ludzkie miłości, podobnie jak ludzkie pragnienie piękna, pochodzą od Autora miłości; biorą swój początek z serca samego Boga. A zatem najwyższą, najczystszą, nadprzyrodzoną miłością jest umiłowanie Boga, który nas stworzył, i Jezusa Chrystusa, Jego jedynego Syna. Mając to na

uwadze, św. Polikarp, mimo roztropności, ostatecznie wolał ponieść męczeństwo niż zaprzeć się wiary.

Przedmiot naszych rozważań jest przeto następujący: czy rzeczywiście jesteśmy gotowi pójść za przykładem Polikarpa i postąpić tak samo – stać się „męczennikami" i publicznymi świadkami wiary? A jeśli tak, to jak mamy żyć, żeby tego dowieść? To poważne pytania. Brutalnie prawdziwe. W tej chwili chrześcijanie w wielu krajach świata swoją przed wyborem: Jezus Chrystus albo śmierć. Niemiecki pisarz Martin Mosebach wydał książkę o dwudziestu jeden imigrantach porwanych w 2015 roku przez muzułmańskich ekstremistów w Libii i straconych za wiarę[7]. Dwudziestu było egipskimi Koptami. Jeden pochodził z innej części Afryki i nie chciał być odłączony od swoich braci w wierze.

Morderstwo tych dwudziestu jeden męczenników zostało uwiecznione w filmie. Trudno go oglądać – nie tylko z powodu barbarzyństwa samego aktu, ale także dlatego, że w głębi serca obawiamy się, czy postawieni wobec takiego wyboru, nie zaparlibyśmy się wiary, żeby ujść z życiem. Szczerze mówiąc, męczennicy – zarówno starożytni, jak i współcześni – nie tylko nas inspirują, ale i budzą nasz lęk. I jest to chyba całkiem zrozumiałe. Być może mamy tu do czynienia z inną wersją biblijnej zasady, że bojaźń Pańska jest początkiem mądrości. Strach przed męczeństwem stanowi bowiem dobry punkt wyjścia do uczciwej oceny własnej «duchowej bylejakości».

A zatem, zamiast tłumić lęk, jak to często robimy,

---

[7] Martin Mosebach, *The 21: A Journey into the Land of Coptic Martyrs*, tłum. Alta L. Price, Plough Publishing House, Walden 2019.

powinniśmy raczej lepiej mu się przyjrzeć.

Chrześcijanie straceni na libijskiej plaży nie są wcale tak bardzo od nas dalecy. Zrozumiały niepokój, który ogarnia nas na myśl, że nie sprostalibyśmy podobnej próbie, jest konkretną wersją lęku, jakim słusznie napawa nas perspektywa stanięcia przed sądem Bożym. Jeśli jesteśmy ze sobą szczerzy, wiemy, że tej próby raczej także nie przejdziemy pomyślnie. Ledwie udaje nam się żyć według podstawowych wymagań dziesięciu przykazań. Wielu z nas ma problem z wypełnianiem choćby minimum zaleceń Kościoła co do naszego życia: z regularnym przystępowaniem do spowiedzi i udziałem we Mszy Świętej, wrażliwością na potrzeby innych, kilkuminutową codzienną modlitwą. Jeśli zmagamy się z tymi najprostszymi sprawami, to jak mielibyśmy odważyć się na przyjęcie męczeństwa? Albo na stanięcie przed sądem sprawiedliwego Boga?

Wyznawana przez nas wiara chrześcijańska nie unieważnia ani nie usprawiedliwia naszych zaniedbań. Grzech to poważna sprawa. Oddziela nas od Boga i wymaga nawrócenia. Kościół wzywa nas do żalu za grzechy. Czyni to jednak jak kochająca matka: chce, żebyśmy zrozumieli, że to nie nasze własne siły, ale niewzruszona wierność Bożej miłości jest dla nas źródłem nadziei. W jednym z najbardziej poruszających fragmentów Pisma Świętego Apostoł Paweł stwierdza: „I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani Moce, ani co jest wysoko, ani co głęboko, ani jakiekolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (Rz 8, 38-39).

Patrząc wstecz na swoje życie, dochodzę do wnio-

sku, że nikt, mimo całej swojej siły i słabości, nie może pokrzyżować planów, jakie Bóg powziął względem nas w Jezusie Chrystusie. Nasze wady, błędy, nasza bylejakość, a nawet najsprytniejsze manewry w zakresie – nazwijmy to – autosabotażu… nic nie ma takiej mocy, by oddzielić nas od miłości Boga, jeśli zwracamy się do Niego otwartym i pokornym sercem. Z tego względu świadectwo męczenników nie jest świadectwem siły moralnej wybitnych ludzkich jednostek. Kieruje ono nasz wzrok ku niesłabnącej miłości, jaką Bóg obdarza każdego z nas w Jezusie Chrystusie. W II Prefacji o świętych męczennikach czytamy:

> Ty bowiem jesteś uwielbiony w chwale Twoich świętych i cokolwiek odnosi się do ich męczeństwa, jest podziwu godnym dziełem Twojej mocy. Ty łaskawie udzielasz wierze żarliwości, Ty dodajesz mocy w przeciwnościach, Ty udzielasz zwycięstwa w męczeństwie, przez Chrystusa Pana naszego.[8]

Oznacza to, że ci, którzy dochowują wierności Bogu, mogą z kolei liczyć na Jego wierność przy końcu życia, bez względu na to, jak ciężka czeka ich próba.

Łaska oświetla i wyjaśnia naturę. Nadprzyrodzona miłość do Boga w Jezusie Chrystusie, dająca odwagę męczennikom, pozwala nam lepiej zrozumieć bardziej naturalne rodzaje miłości: do rodziny, do przyjaciół, honoru i uczciwości. Siła tych miłości – siła tak wielka, że jesteśmy

[8] Brak oficjalnego przekładu polskiego. Tłum. robocze: Maciej Zachara MIC, cyt. za: https://www.liturgia.pl/2-Prefacja-o-meczennikach/. (*przyp. tłum.*)

gotowi raczej poświęcić życie niż je zdradzić – nie pochodzi z wewnątrz. Matka nie zdoła wykrzesać miłości do dziecka, sięgając po własne zasoby emocjonalne. To samo odnosi się do miłości, jaką darzymy przyjaciół, honor czy uczciwość. Siła miłości niejako wydobywa nas na zewnątrz, poza nas samych. Jej źródłem jest obiekt miłości, a nie ten, kto kocha. Stworzone na obraz Boży nienarodzone dziecko jest warte matczynej miłości. To wartość tego, co kochamy – fakt, że coś jest godne naszej miłości – uzdalnia nas do poświęcania czasu, wygody, bogactwa, sukcesu, a nawet własnego życia.

Ci z nas, którzy mieszkają w tak zwanych krajach rozwiniętych, doświadczają – mimo wszystkich stojących przed nami wyzwań – zdumiewającego dobrobytu. Dla wielu cały świat stoi otworem. Wielu, w stopniu niewyobrażalnym w poprzednich epokach, może wybrać własną drogę życiową, a nawet przedefiniować swoją tożsamość. Należymy do kultury, która zdaje się dryfować swobodnie w płynnym świecie nieograniczonych możliwości. Na pierwszy rzut oka może to wyglądać na błogosławieństwo, ale często okazuje się przekleństwem. To dlatego, że swobodnie dryfować może tylko życie pozbawione ciężaru, pozbawione treści.

Najbardziej charakterystyczną cechą naszej epoki jest to, że osłabia więzi. Zakrzywia nas ku sobie. Uwodzi nas życiem bez miłości. Jesteśmy zalewani słodko brzmiącymi hasłami w rodzaju: „Miłość zwycięża" albo: „Tu nie mieszka nienawiść". Jakże często słowa te jedynie maskują gniew i służą za broń w wojnie kulturowej, w której więcej jest jadu niż życzliwej szczerości. Nasze czasy obiecują nam status celebrytów w mediach społecznościo-

wych; ucieczkę w nowe produkty, technologie i podróże; czy też bogactwo za sprawą sukcesu zawodowego. Ale tak naprawdę nie wolno nam kochać. Prawdziwa miłość odwraca bowiem od nas samych i kieruje ku Innemu. Jest ukierunkowana na prawdę – prawdę o człowieku, o ludzkiej naturze i o stworzeniu. Jest wymagająca i zdolna do wyrzeczeń. Zakotwicza w okolicznościach, które są głęboko ludzkie i satysfakcjonujące, a przy tym stanowią najgłębsze źródło radości – choć równocześnie są niewygodne i łatwo je uznać za ciężar.

Pytanie samych siebie, za co jesteśmy gotowi umierać, to rzecz dobra i niezbędna. Podobnie pytanie siebie o to: co kochamy nad życie? Już samo postawienie tej kwestii jest przejawem buntu przeciw epoce pozbawionej miłości. A udzielenie zdecydowanej odpowiedzi zmienia człowieka w rewolucjonistę: rewolucjonistę miłości, który – z Bożą pomocą – pewnego dnia wybawi ponowoczesny Zachód nie umiejący już wyobrazić sobie nic, za co warto byłoby umierać, a zatem na dłuższą metę nic, dla czego warto byłoby żyć.

* * *

Pewien archeolog zażartował kiedyś, że rozkopywanie Ziemi Świętej jest czynnością tak delikatną niczym operacja mózgu. Może – z jednej strony – wzbogacić nasze rozumienie przeszłości, a zatem i nas samych. Ale – z drugiej – niesie też ze sobą zagrożenie. Pamięć religii czy też narodu, podobnie jak pamięć osoby, kształtuje i nadaje sens życiu. Ziemia Święta jest usiana miejscami czczonymi przez trzy wielkie religie i mającymi zasadnicze

znaczenie dla ich tożsamości. Niektóre legitymują się pobożną tradycją. Inne twardymi dowodami.

Pierwotne położenie biblijnej stolicy króla Dawida zatarło się w ciągu tysiącleci, na przestrzeni których Jerozolima rozrastała się, ulegała zniszczeniu i na nowo podnosiła z ruin. Pod koniec XIX wieku na wzniesieniu sąsiadującym od południa ze Wzgórzem Świątynnym rozpoczęto wykopaliska w poszukiwaniu Miasta Dawidowego. Okolice te obejmowała arabska dzielnica wschodniej Jerozolimy znana jako Wadi Hilweh. Po zajęciu tej części miasta przez Izrael w wyniku wojny sześciodniowej (1967) poszukiwania archeologiczne nabrały tempa. A wraz z nimi nasiliły się napięcia między Arabami a Żydami. Obecnie Wadi Hilweh niechętnie gości w swoich granicach miejsce znane jako Miasto Dawida Park Narodowy Murów Jerozolimy. Niemniej jest ono skarbnicą żydowskiej historii i światową atrakcją turystyczną. Odsłonięte tu starożytne ruiny są zdumiewające.

Jeszcze bardziej zaskakujące jest to, co odsłonięto pod ziemią. Odkryto, oczyszczono i zakonserwowano główną «Drogę Pielgrzymów» łączącą sadzawkę Siloam, w której dokonywano rytualnego obmycia, z Drugą Świątynią. Nie sposób przecenić wagi tego znaleziska. W czasach rzymskich była to licząca sześćset metrów długości i osiem szerokości główna arteria żydowskiego kultu. Jezus pokonywał ją w dzieciństwie, lecz także i jako dorosły mężczyzna. Przechodziła tędy Jego rodzina, Jego uczniowie i przyjaciele. Te wspaniałe znaleziska są jednak równocześnie źródłem problemów. Bezcenne wykopaliska Miasta Dawidowego niszczą równie wartościowe arabskie domy zbudowane nad nimi. A wiele arabskich

rodzin postrzega prowadzone tu prace jako zagrożenie dla swoich religijnych korzeni i próbę „judaizacji" ich dzielnicy.

W naszej sceptycznej epoce Ziemia „Święta" może zupełnie wydawać się „nieświęta" – a za głównego winowajcę takiego obrotu spraw łatwo uznać religię.

Nieżyjący już brytyjski historyk John H. Plumb, podobnie jak wielu innych sceptycznie nastawionych przedstawicieli tej dziedziny, twierdził, że historyk ma „widzieć [przeszłe] sprawy takimi, jakimi były"[9]. Jego zdaniem przeszłość została w dużym stopniu zafałszowana przez zmyślone opowieści. Dlatego rola prawdziwej historii winna być „zasadniczo destrukcyjna". Zmarły w 2001 roku Plumb, za życia doceniany i wpływowy, nie przywiązywał większej wagi do wielkich narracji czy twierdzeń jakiejkolwiek religii. Wszystkie dawne systemy religijne postrzegał jako mitologie służące uzasadnieniu władzy i panowania nad innymi. Uważał, że historię należy uwolnić od dziedzicznych uprzedzeń. Ma ona niszczyć złudzenia. Jako narzędzie nauk społecznych ma przeto osłabiać wyimaginowany obraz przeszłości za pomocą twardej rzeczywistości faktów, kwestionując opowieści poprzednich pokoleń, aby interpretować sens życia w kategoriach czysto historycznych.

Historia, twierdził Plumb, „to nie przeszłość". Po czym dodawał: „Przeszłość jest zawsze celowo wykreowaną ideologią, stworzoną po to, by kontrolować jednostki, motywować społeczeństwa lub inspirować klasy społecz-

[9] Wszystkie przywołania Johna Harolda Plumba pochodzą z jego książki: *The Death of the Past*, Pelgrave Macmillan, New York 1969.

ne. Nigdy niczego nie nadużywano tak, jak koncepcji przeszłości. Przyszłością historii i historyków jest oczyszczenie dziejów rodzaju ludzkiego z tych zwodniczych wizji sensownej przeszłości, [które tak często służyły] podporządkowaniu i wykorzystywaniu mężczyzn i kobiet, aby dręczyć ich strachem albo paraliżować poczuciem własnej beznadziejności. Przeszłość służyła tylko nielicznym; być może historia będzie mogła służyć wszystkim".

Mimo swoich poglądów, Plumb żywił jednak powściągliwy szacunek dla dziedzictwa żydów i chrześcijan. Akurat ci wierzący „nadali życiu nowe znaczenie", twierdził. Wierzyli w stopniowo ujawniające się przeznaczenie człowieka. Dokonali w ludzkiej myśli i kulturze rewolucji „bardziej radykalnej, dalekosiężnej i absolutnej niż te, które były udziałem innych wielkich cywilizacji". Plumb obawiał się, że w przeciwieństwie do niego wielu jego zsekularyzowanych kolegów ucieka w koncepcje bezsensu historii. Rozumiał, że jeśli zniszczy się spójność przeszłości, może nastąpić paraliż życia społecznego. Był świadom, że ludzie „nałogowo potrzebują przekonania o wartości dziejów człowieka", i że dotyczy to nie tylko pojedynczych osób, ale także całego świata.

W ostatecznym rozrachunku niechęć Plumba do tego, co określał mianem „dawnej przeszłości", była w dużej mierze uprzedzeniem wobec chrześcijańskich treści, które tak dalece nadały przeszłości sens i tak głęboko ją ukształtowały. Miał nadzieję, że historia „zajmie jej miejsce; podtrzyma ufność w ludzkie przeznaczenie i stworzy dla nas nową przeszłość, tak wierną i dokładną, jak tylko się da – przeszłość, która pomoże nam zyskać tożsamość nie Amerykanów, Rosjan, Chińczyków czy Brytyjczyków,

czarnych albo białych, bogaczy albo biedaków, tylko ludzi". Kwestię tego, w jaki sposób narzędzie odgrywające „zasadniczo destrukcyjną" rolę miałoby zbudować nowe przeznaczenie ludzkości, Plumb zbył milczeniem.

W ten sposób dochodzimy do kolejnego, bardziej naglącego pytania: co wszystkie te słowa o pamięci i przeszłości znaczą dla mnie i dla ciebie? Jako historyk Plumb przyznał z ociąganiem, że „chrześcijański mit trzyma się mocno". Był to dla niego kłopot. Irytujące ruiny wciąż zagradzały drogę ku lepszej przyszłości. W rzeczywistości jednak „chrześcijański mit" trzyma się mocno nie bez powodu.

C.S. Lewis, jeszcze jako ateista, uważał podobnie jak Plumb, że wszystkie religie są w gruncie rzeczy mitami o tym, kim jesteśmy i dlaczego znaleźliśmy się na tym świecie. Sądził, że wszystkie mity to kłamstwa – w najlepszym razie piękne kłamstwa „wydmuchane przez srebro"[10]. Dopiero jego przyjaciel J.R.R. Tolkien uświadomił mu, że prawda istnieje, czy nam się podoba, czy nie, że jest ona zawsze czymś więcej niż zbiorem nagich faktów, że mity mogą czasem być prawdziwe i że ten konkretny mit faktycznie się wydarzył i był Prawdą wcieloną.

Jezus z Nazaretu żył naprawdę. Był postacią historyczną, człowiekiem z krwi i kości; kimś o wiele więcej niż legendą. Nauczał i uzdrawiał dokładnie tak, jak mówią

[10] C.S. Lewis zapożyczył to określenie (ang. *breathed through silver*), użyte przez niego w liście do przyjaciela, z wiersza Roberta Browninga *One More Word*, w którym autor, odnosząc się do sięgnięcia przez artystę po delikatniejszą formę, stwierdza: „Ten, kto dmie przez brąz, może wydmuchać przez srebro / Stosowną serenadę dla śpiącej królewny". (*przyp. tłum.*)

Ewangelie, w tej ziemi, którą my nazywamy „świętą". Rzeczywiście przyszedł jako *Christos* – Chrystus, Namaszczony, Mesjasz. Naprawdę dla nas cierpiał, umarł i zmartwychwstał. Dowodem jest płomień, jaki zapalił w sercach tych, którzy Go znali – zapał, który odmienił bieg historii świata. Kiedy jechał jerozolimską «Drogą Pielgrzymów» po raz ostatni na grzbiecie osła wśród wiwatującego tłumu, wiedział o podłości, zdradzie i ukrzyżowaniu, które Go czekały. Wiedział, że niektórzy z tego samego tłumu wkrótce będą domagać się Jego śmierci. Wielu nie zrozumie sensu Jego ofiary. A jednak oddał swoje życie za nas, z miłości do nas. Jezus uznał, że to my – pomimo naszych upadków, pomimo tego, jacy jesteśmy i jak często gubimy drogę – jesteśmy warci tego, by ponieść za nas śmierć. A skoro tak, i jeśli nie żartujemy, nazywając się chrześcijanami, to powinniśmy przynajmniej próbować żyć i umierać dla innych.

„Jeruzalem, jeśli zapomnę o Tobie, niech uschnie moja prawica". Francuska mistyczka Simone Weil powiedziała kiedyś, że „chyba największą ze wszystkich zbrodni jest zniszczenie przeszłości"[11]. Świat, który zbudowaliśmy, mimo wszystkich swoich osiągnięć, usidla nas w wiecznej teraźniejszości, w narkotycznym kokonie rozproszeń i pożądań, tu i teraz. Wymazuje z uporem naszą przeszłość. Każe nam zapominać. Kradnie nam pamięć tego, kim jesteśmy jako chrześcijanie i dlaczego na tym świecie jesteśmy.

Święty Paweł nawołuje każdego z nas: „nie dał nam

[11] Simone Weil, *Waiting for God*, Harper Perennial, New York 2009 (zob. fragm. „Read On", s. 15).

Bóg ducha bojaźni, ale mocy i miłości oraz trzeźwego myślenia. Nie wstydź się zatem świadectwa Pana naszego […], lecz weź udział w trudach i przeciwnościach znoszonych dla Ewangelii mocą Bożą!" (2 Tm 1, 7-8). Jako chrześcijanie mamy przyszłość, bo nasze życie ma sens i cel, który przewyższa nas samych. Naszym dziedzictwem jest misja odnawiania oblicza ziemi mocą Bożej miłości, za sprawą Ewangelii Jezusa Chrystusa. Musimy – każdy w swoim życiu i we wspólnocie Kościoła – ponownie te dary ożywić. Pójście tą drogą oznacza, że jako wierzący będziemy w najbliższej przyszłości napotykać liczne przeszkody, i to na wielu frontach. Między chrześcijańskim rozumieniem tożsamości, godności i płciowości a pogardą, jaką nowa kultura Zachodu darzy naszą wiarę, nie może być konkordatu. Świat traktujący z nienawiścią tak wiele spraw nigdy do tego nie dopuści.

Plan dalszej części książki jest prosty.

Rozdział drugi traktuje o tym, co powinniśmy myśleć o śmierci i o świetle, w jakim stawia ona nasze życie. Rozdział trzeci analizuje naszą kulturę – kulturę zatrutą cynizmem ironii, wyśmiewania i negowania pytań, które stawia nam śmierć – oraz pustynię bezsensu będącą jej skutkiem. Rozdział czwarty poświęcony jest Autorowi naszego życia – Bogu prawdziwemu, który nadaje mu sens – a także naszej chronicznej pokusie, żeby Go unikać. Rozdziały od piątego do ósmego stanowią przegląd spraw otaczanych czcią – nobilitującą bądź bałwochwalczą – co do których wielu z nas żywi przekonanie, że warto dla nich żyć i za nie umierać. Są wśród nich: ojczyzna, idee i ideologie, rodzina i bliscy oraz sam Kościół. Rozdział dziewiąty omawia charak-

ter naszej ziemskiej pielgrzymki i traktuje o „czterech rzeczach ostatecznych", które nieuchronnie czekają każdego z nas. Natomiast *Posłowie* jest refleksją o przyjaźni: naszej przyjaźni z Bogiem i ze sobą nawzajem, czyli o tym, co stanowi kwintesencję chrześcijańskiego życia na ziemi i przedsmak życia przyszłego.

Ostatnio często wracam myślą do znakomitego pisarza i filologa, J.J.R. Tolkiena. Wszystko, co pisał, było kształtowane przez dramat chrześcijaństwa. Intensywnie przeżywana katolicka wiara stanowiła fundament całego jego życia i literackiego geniuszu. Pod koniec *Dwóch wież*, drugiej części *Władcy pierścieni*, wielkiej trylogii Tolkiena, Sam Gamgee pyta Froda: „Czy wielkie historie nigdy się nie kończą?". A Frodo odpowiada: „Sama historia nie kończy się […], lecz osoby, biorące w niej udział, odchodzą, gdy skończy się ich rola"[12].

Mam siedemdziesiąt pięć lat i moja rola dobiega końca. Natomiast Kościół, jego misja i wielka historia chrześcijaństwa, w której wszyscy uczestniczymy, trwają nadal. I dlatego największym darem, którego mógłbym pragnąć dla przyszłych czytelników tych słów, jest to, by odegrali swoją rolę w tej historii z całą energią i zapałem, jakie drzemią w ich sercach. Bo właśnie to jest coś, dla czego warto żyć.

---

[12] J.R.R. Tolkien, *Dwie wieże*, tłum. Maria Skibniewska, Czytelnik, Warszawa 1962, s. 405.

… i poprowadzi ich do źródeł wód życia:
i każdą łzę otrze Bóg z ich oczu.

Ap 7, 17

2.

CICHO, W GŁĄB TEJ DOBREJ NOCY

„Pozostałe rozdziały dostępne w pełnej wersji e-booka.”